Czesław Kulesza

Listopadowe rocznice przypominają nie tylko o narodzinach niepodległej Polski, ale również o sporach dotyczących jej społecznego i politycznego kształtu. Warto do nich wracać szczególnie dzisiaj, gdy walka o państwowe instytucje coraz częściej przesłania pytanie, komu właściwie mają one służyć. Jest coś osobliwego w sposobie, w jaki obchodzimy w Polsce rocznice. Potrafimy z wielką powagą wspominać ludzi, których poglądy, gdyby głosili je dzisiaj, wywołałyby niemałe zakłopotanie wśród uczestników oficjalnych uroczystości. Stawiamy im pomniki, organizujemy konferencje, nadajemy ich imiona ulicom. Robimy niemal wszystko, żeby nie musieć poważnie potraktować tego, co mieli do powiedzenia.
Ignacy Daszyński doskonale nadaje się do takiego rocznicowego oswajania. Marszałek Sejmu, wybitny parlamentarzysta, jeden z ojców polskiej niepodległości. Postać, którą można bezpiecznie wpisać do narodowego panteonu. Wystarczy tylko dyskretnie odsunąć na bok fakt, że był socjalistą. I to nie socjalistą od okolicznościowych deklaracji, lecz politykiem przekonanym, że niepodległość bez sprawiedliwości społecznej będzie wolnością przede wszystkim dla tych, którzy już wcześniej mieli pieniądze, majątek i wpływy.
7 listopada 1918 roku w Lublinie powstał Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej. Nie był to jedynie kolejny epizod w skomplikowanej historii odzyskiwania niepodległości. Była to próba odpowiedzi na pytanie, komu właściwie ma służyć odradzające się państwo. W programie rządu znalazły się zapowiedzi daleko idących reform społecznych, praw pracowniczych, powszechnego udziału obywateli w życiu politycznym i demokratyzacji stosunków społecznych. Niepodległość miała oznaczać coś więcej niż zastąpienie obcych urzędników polskimi.
Czy Polska miała być własnością elit, czy wspólnym domem ludzi, którzy ją swoją pracą utrzymują? Czy odzyskanie państwa oznaczało jedynie własne granice, wojsko i administrację, czy również wyzwolenie społeczne tych, którzy przez pokolenia pozostawali pozbawieni rzeczywistego wpływu na swoje życie?
Minęło 108 lat. Zmienił się świat, zmieniła się Polska, ale niektóre z tamtych pytań brzmią dziwnie znajomo.
Warto przy tym pamiętać, że listopadowa niepodległość nie narodziła się w ciągu jednego dnia. Była rezultatem wieloletniej walki, prowadzonej przez środowiska o bardzo różnych poglądach i wyobrażeniach przyszłego państwa. Jednym z jej ważnych, choć dzisiaj znacznie rzadziej przypominanych rozdziałów, były wydarzenia na warszawskim placu Grzybowskim.
13 listopada 1904 roku Polska Partia Socjalistyczna zorganizowała tam demonstrację przeciwko carskiej mobilizacji do wojny z Japonią. Pod czerwonym sztandarem wystąpili robotnicy sprzeciwiający się zarówno rosyjskiemu panowaniu, jak i przymusowi umierania za interesy imperium. Doszło do starć z policją i wojskiem. Padły strzały, byli zabici i ranni. Było to pierwsze od powstania styczniowego zbrojne wystąpienie polskiej organizacji przeciwko władzy carskiej.
Trudno o bardziej wymowne przypomnienie, że walka o polską niepodległość miała również twarz robotnika, socjalisty i człowieka sprzeciwiającego się imperialnej wojnie. Nie była wyłącznie dziełem wojskowych dowódców, dyplomatów czy polityków zabiegających o poparcie europejskich mocarstw.
Ta tradycja nie wymaga upiększania. W walce PPS obecna była także przemoc, a jej historia, jak każda historia politycznego ruchu, nie jest wolna od sprzeczności. Nie zmienia to jednak

faktu, że polski socjalizm niepodległościowy wyrastał z przekonania o związku wolności narodowej ze społecznym wyzwoleniem. Niepodległa Polska miała być nie tylko państwem Polaków, ale państwem, w którym ludzie pracy przestaną być obywatelami drugiej kategorii. Tym bardziej zastanawia sposób, w jaki przez dziesięciolecia kształtowano oficjalną pamięć o 11 listopada.

Dzisiaj wydaje się oczywiste, że tego dnia wszyscy Polacy powinni wspólnie świętować odzyskanie niepodległości. W okresie międzywojennym sprawa nie była jednak tak prosta. Sam wybór daty pozostawał przedmiotem politycznych sporów. Dla socjalistów i części ruchu ludowego szczególne znaczenie miał 7 listopada, dzień powstania rządu Daszyńskiego. Środowiska piłsudczykowskie podkreślały znaczenie 11 listopada, a inne ugrupowania wskazywały również na wydarzenia, które ich zdaniem lepiej oddawały złożony proces odradzania się państwa.

Nie był to wyłącznie spór o kalendarz.

Za wyborem daty kryła się odpowiedź na pytanie, czy niepodległość należy utożsamiać przede wszystkim z przywództwem jednego człowieka i jego obozu politycznego, czy z wysiłkiem wielu środowisk, w tym robotników, chłopów i demokratycznej lewicy. Po przewrocie majowym z 1926 roku spór ten nabrał dodatkowego znaczenia, ponieważ państwowe uroczystości coraz silniej wiązano z tradycją Józefa Piłsudskiego. Dopiero w 1937 roku 11 listopada ustanowiono ustawowo Świętem Niepodległości.

Socjaliści nie kwestionowali znaczenia odzyskanej państwowości. Sprzeciwiali się natomiast zawłaszczaniu jej historii i podporządkowywaniu pamięci narodowej potrzebom obozu rządzącego. Niepodległość była dla nich osiągnięciem całego społeczeństwa, a nie polityczną własnością jednej formacji.

Trudno nie dostrzec aktualności tego sporu. Także dzisiaj historia bywa traktowana jako narzędzie potwierdzania prawa do rządzenia, a patriotyzm jako kryterium dzielenia obywateli na bardziej i mniej uprawnionych do wypowiadania się w imieniu Polski.

Najbardziej niepokojące jest jednak to, jak łatwo spory o państwowe instytucje zaczynają przypominać walkę o polityczne przyczółki.

Wydarzenia wokół Trybunału Konstytucyjnego z przełomu października i listopada 2026 roku pokazały, jak głęboki stał się konflikt między obozem prezydenckim a rządowym. Spór o legalność działań podejmowanych w Trybunale, odsunięcie jego dotychczasowego kierownictwa od czynności służbowych, obecność policji oraz reakcja Prezydenta stały się przyczyną wzajemnych oskarżeń o naruszanie porządku konstytucyjnego.

Przedstawiciele Kancelarii Prezydenta mówią o próbie przejęcia niezależnego organu państwa i zagrożeniu dla demokracji. Donald Tusk odpowiada oskarżeniami o siłowe działania Prezydenta i blokowanie możliwości funkcjonowania legalnie wybranych sędziów. Każda ze stron przedstawia własne postępowanie jako obronę praworządności przed bezprawiem przeciwnika.

Nie oznacza to, że odpowiedzialność obu obozów za obecny stan państwa jest jednakowa. Nie sposób przecież pomijać wcześniejszego podporządkowywania Trybunału interesom politycznym PiS ani wieloletnich konsekwencji tych działań. Nie można jednak również przyjmować, że naprawa instytucji z definicji usprawiedliwia każdą metodę zastosowaną przez tych, którzy deklarują zamiar przywrócenia praworządności.

Szczególnie niebezpieczny jest język, w jakim zaczęto prowadzić tę dyskusję. Oskarżenia o zamach na państwo, siłowe przejmowanie instytucji i niszczenie demokracji nie są już tylko elementem parlamentarnej polemiki. Podważają wzajemnie prawomocność działań

najważniejszych organów Rzeczypospolitej, a obywatelom coraz trudniej odróżnić rzeczywistą troskę o konstytucję od walki o polityczną kontrolę.
W tym kontekście pojawiające się odwołania do przewrotu majowego zasługują na szczególną uwagę.
Porównywanie obecnego konfliktu z majem 1926 roku jest historycznie nieadekwatne. Wówczas doszło do zbrojnego wystąpienia przeciwko legalnym władzom państwa, walk ulicznych i śmierci setek ludzi. Dzisiejszy spór, choć poważny, ma inny charakter. Nie wolno jednak lekceważyć znaczenia takich analogii. Przywoływanie przewrotu majowego w bieżącej walce politycznej może oswajać społeczeństwo z wyobrażeniem, że głęboki konflikt konstytucyjny da się rozstrzygnąć przez demonstrację siły.
Historia polskiej lewicy dostarcza tu zresztą szczególnie pouczającego doświadczenia. Polska Partia Socjalistyczna początkowo poparła wystąpienie Piłsudskiego w maju 1926 roku, wiążąc z nim nadzieje na przełamanie politycznego kryzysu i ograniczenie wpływów prawicy. Nadzieje te szybko okazały się złudne. Umacnianie władzy wykonawczej, osłabianie parlamentaryzmu i stopniowe odchodzenie od demokratycznych zasad doprowadziły socjalistów do konfliktu z obozem sanacyjnym.
Sam Daszyński stał się jednym z ważnych przeciwników autorytarnych tendencji w życiu państwowym. Człowiek, który współtworzył niepodległą Polskę i przez lata współpracował z Piłsudskim, musiał bronić parlamentaryzmu przed polityką opartą na przekonaniu, że silny przywódca może zastąpić demokratyczne instytucje.
Nie ma potrzeby szukania prostych odpowiedników między rokiem 1926 a 2026. Historia rzadko powtarza się w tak wygodny sposób. Warto jednak pamiętać, jak łatwo nadzieja na skuteczne rozwiązanie kryzysu może prowadzić do akceptacji metod, które ostatecznie osłabiają demokrację.
Tym bardziej że listopadowy kalendarz przypomina również o wydarzeniach znacznie wykraczających poza polskie doświadczenie.
7 listopada przypada rocznica rewolucji październikowej z 1917 roku. Przez dziesięciolecia przedstawiano ją jako początek nowej epoki społecznego wyzwolenia, dowód możliwości obalenia starego porządku i zbudowania społeczeństwa wolnego od wyzysku. Nie sposób zaprzeczyć, że wyrastała z rzeczywistych sprzeczności carskiej Rosji: biedy, nierówności, wojny i politycznego ucisku.
Nie sposób też pomijać tego, czym zakończyło się bolszewickie przejęcie władzy. Obietnica rządów robotników i chłopów ustąpiła miejsca monopolowi jednej partii, represjom wobec przeciwników politycznych i budowie państwa, w którym społeczeństwo zostało pozbawione możliwości demokratycznego kontrolowania własnych przywódców.
Dla współczesnej lewicy nie powinien to być argument przeciwko dążeniu do sprawiedliwości społecznej. Powinien być ostrzeżeniem przed utożsamianiem społecznego wyzwolenia z nieograniczoną władzą tych, którzy ogłaszają się jego jedynymi reprezentantami.
Nie wystarczy przecież znieść dawnych przywilejów, jeśli na ich miejsce powstają nowe. Nie wystarczy mówić w imieniu ludzi pracy, jeżeli odbiera się im prawo do niezależnej organizacji, sprzeciwu i współdecydowania. Socjalizm pozbawiony demokracji może zachować własną symbolikę, lecz traci istotną część swojego emancypacyjnego sensu.
Z kolei noc z 9 na 10 listopada 1938 roku przypomina, do czego może prowadzić polityka oparta na systematycznym odmawianiu części społeczeństwa prawa do równego traktowania. Podczas Nocy Kryształowej w nazistowskich Niemczech niszczono żydowskie sklepy, podpalano synagogi, napadano na ludzi, a tysiące Żydów trafiły do obozów koncentracyjnych.

Nie był to nagły wybuch przemocy w społeczeństwie, które wcześniej żyło w atmosferze tolerancji. Pogrom poprzedzały lata propagandy, ustawowego ograniczania praw, wykluczania Żydów z życia publicznego i przyzwyczajania obywateli do myśli, że część ich sąsiadów nie zasługuje na taką samą ochronę państwa.

Nie należy oczywiście stawiać znaku równości między współczesną Polską a Niemcami z 1938 roku. Takie porównanie byłoby historycznie nieuprawnione. Warto jednak pamiętać, że nienawiść rzadko zaczyna się od otwartej przemocy. Znacznie częściej poprzedza ją język, który stopniowo odbiera innym ludziom godność i przedstawia ich jako zagrożenie dla wspólnoty.

Dlatego trudno pozostawać obojętnym wobec sposobu, w jaki część polskiej prawicy mówi dzisiaj o migrantach, uchodźcach czy mniejszościach. Społeczne lęki są rzeczywiste, problemy bezpieczeństwa również. Nie wynika z tego jednak, że można uczynić z całych grup ludzi wygodnych winowajców kryzysu mieszkaniowego, niepewności zatrudnienia czy niedomagań państwa.

Od szczucia na uchodźców nie przybędzie mieszkań. Od homofobicznych haseł nie poprawi się dostęp do lekarza. Od antysemityzmu nie wzrosną płace. Żaden marsz wymierzony przeciw wyimaginowanym wrogom nie zastąpi polityki mieszkaniowej, sprawnych usług publicznych i dobrze opłacanej pracy.

W gruncie rzeczy wszystkie te rocznice, choć dotyczą wydarzeń o zupełnie różnym charakterze, skłaniają do postawienia pytania o granice politycznej władzy i sens społecznej solidarności. Niepodległość nie gwarantuje jeszcze sprawiedliwości. Rewolucja nie musi prowadzić do wyzwolenia. Demokratycznie wyłonione władze mogą stopniowo osłabiać demokratyczne instytucje, a przywiązanie do własnego narodu nie chroni samo w sobie przed nacjonalizmem wymierzonym przeciw innym.

Właśnie dlatego tak istotna pozostaje tradycja demokratycznego socjalizmu, w której walka o poprawę warunków życia ludzi pracy nie jest przeciwstawiana obronie obywatelskich wolności. Rok 2026, ogłoszony Rokiem Ignacego Daszyńskiego, powinien być okazją do poważniejszego zastanowienia się nad tym dziedzictwem. Tymczasem ciekawsze od rocznicowych uroczystości wydaje się spojrzenie na politykę obecnej koalicji rządzącej.

Nie dlatego, że miałaby ona obowiązek realizować program sprzed ponad wieku. Rzecz w tym, że zapowiadając zmianę, rozbudziła nadzieje na państwo bardziej demokratyczne, sprawiedliwe i wrażliwe na potrzeby zwykłych ludzi.

Nie wszystko należy przekreślać. Próby wzmocnienia ochrony praw pracowniczych, utrzymanie ważnych świadczeń społecznych, działania dotyczące mieszkalnictwa czy naprawy instytucji publicznych mają znaczenie. Problem polega na tym, że suma częściowych zmian niekoniecznie oznacza zmianę systemową.

Polska wciąż pozostaje krajem, w którym posiadanie własnego mieszkania coraz częściej zależy od rodzinnego majątku albo wieloletniego zadłużenia. Krajem, gdzie człowiek może pracować na pełen etat, a mimo to żyć od wypłaty do wypłaty. Gdzie prywatna wizyta u lekarza bywa sposobem na ominięcie wielomiesięcznej kolejki, a mieszkańcy mniejszych miejscowości nieraz muszą organizować całe życie wokół rozkładu nielicznych autobusów.

Nie są to problemy spektakularne. Nie da się ich łatwo zamienić w efektowną konferencję prasową. Ale właśnie z nich składa się codzienne doświadczenie wolności albo jej braku. Rządzący mają oczywiście swoje wyjaśnienia. Trudna koalicja, ograniczenia budżetowe, prezydenckie weta, sytuacja międzynarodowa. Niektóre z tych argumentów są uzasadnione. Żaden jednak nie powinien stawać się uniwersalnym usprawiedliwieniem dla braku ambicji.

Szczególnie trudno zaakceptować rozbieżność między deklaracjami o równości a tempem zmian dotyczących praw kobiet. Podobnie trudno uznać, że odbudowa demokracji może ograniczać się do poprawy funkcjonowania instytucji, bez poważniejszej rozmowy o nierównościach ekonomicznych.

Bo cóż z tego, że państwo będzie bardziej praworządne, jeśli dla znacznej części obywateli pozostanie równie niedostępne?

Także dyskusja o bezpieczeństwie zbyt często sprowadza się do wydatków wojskowych i kolejnych zakupów uzbrojenia. Rosyjska agresja na Ukrainę jest rzeczywistym zagrożeniem, a prawo Ukraińców do obrony własnego państwa nie wymaga szczególnego uzasadnienia. Nie oznacza to jednak, że skala militaryzacji polityki powinna być wyłączona z demokratycznej kontroli.

Czy bezpieczeństwo państwa można mierzyć wyłącznie liczbą zakupionych czołgów, samolotów i rakiet? Czy społeczeństwo z przeciążoną ochroną zdrowia, kryzysem mieszkaniowym i niedofinansowanymi usługami publicznymi jest naprawdę społeczeństwem odpornym na zagrożenia?

Nie chodzi o prosty wybór między armią a szpitalami. Chodzi o proporcje, przejrzystość wydatków i prawo społeczeństwa do decydowania, co składa się na jego bezpieczeństwo.

Nie ma sprzeczności między poparciem dla prawa Ukrainy do obrony a przekonaniem, że Europa potrzebuje również dyplomacji, kontroli zbrojeń i polityki zapobiegającej kolejnym konfliktom. Pokój nie powstaje sam. Ale nie powstaje też wyłącznie w fabrykach uzbrojenia.

W tym wszystkim szczególnie trudna do zaakceptowania pozostaje postawa części współczesnej lewicy, która w obawie przed prawicą coraz częściej ogranicza własne ambicje do obrony istniejącego porządku. Jakby przywrócenie stanu sprzed rządów PiS mogło stanowić wystarczającą odpowiedź na społeczne problemy, które pomogły prawicy zdobyć władzę.

Tymczasem historycznym zadaniem lewicy nie była przecież obrona istniejących stosunków społecznych, lecz ich zmiana. Demokratyzacja instytucji, społeczna kontrola nad gospodarką, silniejsze prawa pracownicze, publiczne mieszkalnictwo i rzeczywista powszechność praw człowieka nie są dodatkami do lewicowego programu. Stanowią jego podstawę.

I może właśnie tutaj listopadowe rocznice spotykają się z najważniejszym pytaniem o przyszłość Polski.

Nie chodzi przecież wyłącznie o to, kto będzie kierował Trybunałem Konstytucyjnym, kto wygra kolejne wybory ani czyja interpretacja historii stanie się obowiązującą podczas państwowych uroczystości. Chodzi o to, czy potrafimy stworzyć państwo, którego instytucje nie będą partyjną zdobyczą, a niepodległość oznaczać będzie również rzeczywistą możliwość godnego życia.

Daszyński nie potrzebuje kolejnego pomnika. Znacznie bardziej przydałaby się Polska, w której demokracja nie kończy się na procedurze wyborczej, a wolność nie jest przywilejem ludzi posiadających odpowiedni majątek, pozycję społeczną i wpływy.

Historia nie daje gotowych odpowiedzi na współczesne problemy. Przypomina jednak, że ani narodowa niepodległość, ani społeczna rewolucja, ani nawet najlepsze konstytucyjne deklaracje nie zastąpią codziennej troski o demokrację i prawa człowieka.

Można przecież odzyskać państwo, a następnie pozwolić, by przestało służyć większości jego obywateli. Można obiecywać wyzwolenie, a zbudować nowy system podporządkowania. Można też nieustannie mówić o obronie demokracji, nie dostrzegając, że dla wielu ludzi pozostaje ona doświadczeniem zbyt odległym od ich codziennego życia.

Niepodległość nie powinna być jedynie świętem historycznego zwycięstwa. Powinna być także okazją do uczciwego rachunku sumienia.

A ten rachunek nie wypada szczególnie dobrze ani dla obecnej koalicji rządzącej, ani dla poprzednich ekip, ani dla całej klasy politycznej, która przez dekady zbyt często traktowała kwestie społeczne jako dodatek do wielkiej polityki.
Najważniejsze pytanie nie brzmi więc, kto ma większe prawo powoływać się na Daszyńskiego, Piłsudskiego czy tradycję walk o niepodległość. Brzmi ono raczej, czy potrafimy wyciągnąć z tej historii wnioski wykraczające poza doraźne interesy politycznych obozów.
Bo flaga jest symbolem wspólnoty. Ale dopiero to, jak ta wspólnota traktuje swoich najsłabszych członków i jak chroni wolność wszystkich obywateli, pokazuje, ile jest warta.
Niepodległość bez sprawiedliwości społecznej pozostaje obietnicą, której wciąż nie dotrzymaliśmy.

Czesław Kulesza